

Świat Nasturcji

- Niestety, nie mogę jej przyjąć – powiedziałam zakłopotana, spoglądając na dwunastoletnią dziewczynkę. - Nie posiadam odpowiednich kwalifikacji.

- Byliśmy już u wszystkich najlepszych psychologów dziecięcych i paru innych, niepewnych osób – odparła pani Smith, kładąc rękę na ramieniu córki. - Żaden jak dotąd jej nie pomógł, ani jeden nie postawił diagnozy. Musi pani spróbować!

- Po raz ostatni powiedziałam, że nie wolno mi bez odpowiedniego przygotowania badać dzieci – powtórzyłam. - Moje wykształcenie nie obejmuje tej dziedziny psychologii.

- Ona nie jest normalna – rzekł milcząco dotąd pan Smith. - Nie istnieje nauka, zdolna rozwikłać jej zagadkę. Może więc pani przynajmniej spróbować.

„Jak można tak powiedzieć o własnym dziecku?” pomyślałam, z niesmakiem przyglądając się panu Smithowi. Dopiero później zdałam sobie sprawę, jak wiele prawdy kryło się w słowach małomównego ojca dziewczynki.

- Nie ma rzeczy nie do wyjaśnienia – odparowałam, poważnie wzburzona. - Dobrze, przyjmę państwa córkę, a po paru spotkaniach przekażę, co robić dalej.

Ulga odmalowała się twarzy pani Smith, jej mąż jednak nie zareagował na tę informację z jakimkolwiek entuzjazmem. Dojrzałam jedynie błysk pogardy w jego oczach, jakby wiedział, iż nic nie wskóram.

Ustaliliśmy, że przyjmę Nasturcję (cóż za dziwne imię!) w środę wieczorem, kiedy wszyscy moi pacjenci opuszczą budynek i będę mogła się skupić tylko na sprawie dziewczynki, po czym rodzina Smithów w pośpiechu wyszła z mojego gabinetu.

Tego dnia, nie wiedząc dlaczego, nie potrafiłam się skupić. Coś odebrało mi wewnętrzny spokój i nie pozwoliło na sumienne wykonywanie pracy. Po przyjęciu zaledwie dwóch pacjentów miałam serdecznie dość wszystkich ludzkich istot. Najchętniej wróciłabym do domu. Do znużenia dołączył jeszcze niemiłosierny ból głowy, jakby ktoś trzymał mój mózg na lassie, zaciskając pętlę coraz mocniej. Podczas wizyty pana Busha (mojego trzeciego dziś pacjenta) z niewiadomych powodów zupełnie straciłam kontrolę nad sobą. Na szczęście w sobotę miałam jedynie cztery spotkania, zatem jakoś dotrwałam do końca, pocieszając się myślą o ciepłym łóżku i zasłużonym odpoczynku.

Kiedy nareszcie dotarłam do domu, zaczęłam się z niemałym niepokojem zastanawiać nad przyczyną dzisiejszego roztargnienia. Dzień spokojnie można by uznać za w miarę przeciętny, nie licząc dziwnego uczucia. Zaczęłam analizować dokładnie każdą minutę przedpołudnia, szybko przywołując różne odczucia z danych godzin. Rano wstałam zadowolona z życia, pewna, że ta sobota będzie wspaniała i pełna ciekawych, niegroźnych zdarzeń. W takim samym humorze podążyłam do pracy, zostawiając w domu śpiącego jeszcze męża. Znalazłszy się w gabinecie, zastałam tam rodzinę Smithów, z niecierpliwością oczekujących mojego przybycia. Wtedy właśnie wszystko zaczęło się komplikować, odbierając mi energię i wigor, doprowadzając do aktualnego stanu. Znalazłam zatem przyczynę nastroju, w jakim się znajdowałam: wszystko to spowodowały dziwne zajścia z poranka. „Dlaczego ta sytuacja wywarła na mnie takie wrażenie?” - zapytałam siebie samą, ale nie znalazłam żadnej logicznej odpowiedzi.

Nadeszła środa.

Dzień ten już od początku zapowiadał się fatalnie. Zaczęło się od całkiem normalnego sprawdzenia godziny. Kiedy tylko spojrzałam na tarczę zegara ściennego, dopadł mnie nagły atak nerwicy. Jak oparzona wyskoczyłam z łóżka, łapiąc ubrania starannie ułożone na krześle, przygotowane do założenia. Przebrałam się w ekspresowym tempie, w pośpiechu wyszczotkowałam włosy i umyłam zęby. Wybiegłam z domu, ignorując protesty pustego prawie żołądka, który właśnie wymyślił sobie, że należy zacząć domagać się przyzwoitego, spokojnego śniadania. Kolejnym minusem tego dnia był deszcz, który lał z nieba, a minuta przebywania na zewnątrz mogła się śmiało równać z polaniem kubłem zimnej, brudnej wody. Zapomniałam parasolki, naciągnęłam zatem kaptur mojej cienkiej kurtki, zupełnie nie przystosowanej do takiej

pogody.

Dotarłam do gabinetu, kiedy właśnie wchodziła do niego pani Williams, moja pierwsza klientka. Kobieta przywitała się serdecznie, ale z rezerwą, po czym zlustrowała mnie krytycznym wzrokiem, pełnym pogardy i zarazem rozbawienia. Przyzwyczyłam się do tego spojrzenia, jako że pani Williams patrzyła tak na wszystko, co się rusza. Weszłam do pomieszczenia, ściągnęłam kurtkę, po czym rozpoczęłam nudne spotkanie z klientką, podczas którego kobieta użalała się nad swoim przeciętnym życiem.

Muszę przyznać, że wszystko, co powiedziała mi pani Williams, wpadało jednym uchem i wypadało drugim. Po prostu nie mogłam się skupić na usypiającej, monotonnej opowieści klientki o jej „problemach”, dotyczących głównie rozkapryszonych dzieci oraz normalnego, nieciekawego męża. Czasami do tych STRASZNYCH dramatów dochodziły OKROPNE komplikacje w znalezieniu odpowiednich butów, które idealnie by wyglądały z nową, skórzana torebką (ohydną zresztą jak sama jej właścicielka). No, trzeba też przyznać, że pani Williams napomknęłam czasami o swojej „psiapsiółce”, krytykując jej styl, charakter, życie osobiste i sposób noszenia się. Oczywiście, najnudniejsi klienci rezerwowali zawsze DWIE godziny w tygodniu, zazwyczaj zresztą jedną po drugiej. Ledwie zdołałam usiedzieć na miejscu, słuchając tych bzdur. Mój nadwyreżony żołądek, oczywiście, również nie pozwalał o sobie zapomnieć, głośnym, krępującym burczeniem robiąc mi wyrzuty.

W końcu opuściłam salę tortur po czterech godzinach (miałam trzech klientów) siedzenia i zapisywania spostrzeżeń, głównie bzdur. Ciekawsze rzeczy mówili jedynie ludzie naprawdę chorzy, ale takim, niestety, ja sama najczęściej nie mogłam pomóc. Zaspokoiliam swoje potrzeby kulinarne, korzystając z prywatnej mikrofalówki, a następnie na powrót musiałam poddać się mękom wysłuchiwania nudnych opowieści.

Pech chciał, że dzisiaj nawet najciekawszy klienci nie mieli mi do zaoferowania niczego, o czym bym wcześniej nie wiedziała. Na przykład gadatliwy zazwyczaj pan Hudson tym razem ograniczył się jedynie do przypomnienia mi, iż za tydzień ma przejść operację, w której usuną mu prawie połowę jelita cienkiego. Nie mam pojęcia, jak to, co mi powiedział, mogło zająć całą godzinę.

Czas dłużył się i dłużył, a ja ciągle myślałam o wieczornej wizycie Nasturcji.

- Dobry wieczór – powitałam dziewczynkę, czekającą w poczekalni. Dwunastolatka siedziała sama, czytając jakąś książkę, chyba „Mansfield Park”, nie byłam pewna. Rodziców nigdzie nie było widać.

- Dobry wieczór – powtórzyła mechanicznie Nasturcja. Jej twarz pozostała nieprzenikniona.

Gestem pokazałam małej klientce, żeby weszła do mojego gabinetu. Dziewczyna wstała i, unikając mojego wzroku, niczym cień przekroczyła próg pomieszczenia. Zamknęłam za nią drzwi.

- Rodziców nie będzie? - zapytałam.

- Nie, proszę pani – odpowiedziała sztywno Nasturcja, odrywając wzrok od półki z książkami.

- Rozumiem. - Nawet ja w towarzystwie tego dziecka czułam się dziwnie niezręcznie, chociaż tak często przychodzili do mnie nowi klienci.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie w moich ulubionych, czarnych i wygodnych fotelach. Rozpoczęłam przepytywanie, pragnąc dowiedzieć się od dziewczynki jak najwięcej.

Spotkanie bardzo szybko dobiegło końca, a ja nie miałam ani jednej ważnej informacji.

Dziewczynka była cicha i skromna, zaś jej oczy czarne jak smoła nie zdradzały żadnych uczuć, przynajmniej ja ich nie rozpoznawałam. Nasturcja miała nawyk skubania paznokci, krótko przyciętych. Na moje pytanie odpowiadała niekonkretnie, tak, jakby już je znała i miała gotową wymijającą odpowiedź, co tłumaczyłam jej wcześniejszymi wizytami u innych psychologów. Dziewczynę uczyli rodzice, wykładowcy fizyki na uniwersytecie w Durham. Już wcześniej na podstawie nazwiska wywnioskowałam, że rodzina przyjechała z Wielkiej Brytanii, a dziewczynka potwierdziła moje przypuszczenia. Nie doszłam do żadnych konkretnych wniosków co do stanu psychicznego klientki, zauważyłam jednak, iż Nasturcja była nadzwyczaj poważna jak na swój

wiek. Gdyby nie to, że widziałam przed sobą dwunastolatkę, mogłabym uznać dziewczynę za dojrzałą, dwudziestopięcioletnią kobietę. Parę razy pytałam ją, na czym polega jej „nienormalność”, ale Nasturcja zawsze wruszała tylko ramionami, zmuszając mnie spojrzeniem do zmiany tematu.

Wracając do domu ciągle myślałam o dziewczynie. Nie zauważyłam w niej nic nadzwyczajnego, poza jej poważnym usposobieniem oraz zamiłowaniem do literatury XIX wieku. Nie mogłam się jednak pozbyć wrażenia, że coś mi umknęło, coś bardzo ważnego, co wyraźnie odróżniało Nasturcję od rówieśniczek.

Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłam do pani Smith, przekazując jej, iż zajmę się Nasturcją. Ustaliłyśmy termin następnej wizyty, po czym zapytałam matkę dziewczynki, jaki jest problem jej córki.

- ... *Trudno to wyrazić* – zaczęła pani Smith zakłopotana, ważąc każde słowo. - *Chyba pani zauważyła, że Nasturcja nie jest normalnym dzieckiem. Ja zdałam sobie z tego sprawę, gdy dwa lata temu wróciła do domu, niosąc pod pachą pudełko pełne znaleźsk pochodzących z lasu. Wyrzuciła je na podłogę, po czym zaczęła segregować, nie używając żadnej widocznej reguły. Nie zdziwiłoby mnie to, gdyby nie jej odpowiedź na moje pytanie, co takiego robi. Spojrzała wtedy na mnie pustym wzrokiem i powiedziała bezbarwnym głosem, że przygotowuje się na śmierć. Przeraziłam się nie na żarty. Zapytałam, czy ma zamiar niedługo nas opuścić. Wtedy znowu tym samym tonem odparła, iż chodzi jej o zagładę Świata.*

- Jakiego świata? - powiedziałam po dłuższym czasie oczekiwania.

- *Jej Świata. Niedawno przyszła do domu cała umorusana błotem. Pachniała nie najładniej, bynajmniej nie był to zapach brudu i potu. Przypadłam do niej i zapytałam, co robiła, wycierając jej włosy czystym ręcznikiem. Nie odpowiedziała mi, tylko wyrwała swoje ramię z mojego uścisku i pobiegła do pokoju. Takie dziwne sytuacje powtarzały się nierzadko, a zawsze wtedy Nasturcja była spokojna i jakby szczęśliwa, mimo iż jej wzrok przysłaniała mgła, a oczy miała puste i nieczułe.*

Moje piąte spotkanie z Nasturcją dobiegło końca. Dziewczynka dawno opuściła gabinet, taszcząc pod pachą „Annę Kareninę” oraz plik kartek z bezbłędnie wykonaną pracą domową.

Opadłam wymęczona na czarny fotel i przez chwilę patrzyłam pustym wzrokiem na kremową ścianę, zagubiona w potoku własnych, nieposkładanych myśli. Co jakiś czas spoglądałam na miejsce Nasturcji, rozmyślając nad całą tą sprawą. To wszystko było takie dziwne, że aż niemożliwe do pojęcia. Od pięciu tygodni starałam się poukładać choć część tych puzzli, zawsze bez jakichkolwiek skutków. Niby sprawa była łatwa, wystarczyło napisać, że Nasturcja wymyśliła sobie własny świat i rozpocząć odpowiednią terapię, nie miałam jednak chęci, by postawić tak banalną diagnozę. Coś mi mówiło, że gdyby sprawę można było rozwiązać w taki sposób, stan dziewczynki już dawno byłby inny. W Nasturcji wiele rzeczy intrygowało, często znajdowałam w niej sprzeczności, które nie pozwalały mi napisać jedynie o wymyślaniu własnego świata. Czułam, iż to, co ona robiła, miało głębszy sens, trzeba było jednak spojrzeć jej oczami, aby to zrozumieć, a ja, niestety, tego nie potrafiłam.

Zamierzałam właśnie opuścić gabinet, gdy mój wzrok przykuło białe pióro leżące na miejscu Nasturcji. Podniosłam je delikatnie i zaczęłam rozmyślać, cóż to za dziwne piórko, obracając je bezwiednie między palcami. Trzy obroty, potem cztery, nie obchodziło mnie to. W końcu przestałam, porzucając też próby zrozumienia, dlaczego Nasturcja nosiła pióro przy sobie. Powoli schowałam je do kieszeni kurtki, po czym wyszłam, a raczej próbowałam wyjść na korytarz. W drzwiach przewróciłam się i odpiłyłam, bezwiednie opuszczając ciało.

Trudno mi stwierdzić, ile spałam, wiem tylko, że nie był to zwyczajny sen. Obudziły mnie delikatne szarpnięcia. Ktoś bądź coś potrzasało moim ramieniem, wyraźnie próbując przywołać do rzeczywistości. Otworzyłam oczy, chcąc, aby złoczyńca jak najszybciej zaprzestał szarpania. Ujrzałam nad sobą zatroskaną twarz męża.

- Zaspałaś, kochanie – powiedział czule, kładąc mi dłoń na czole.

- Co ja tu robię? - zapytałam, jako że nie pamiętałam, jak się dostałam do mojego domu. Po chwili przypomniałam sobie, że upadłam na posadzkę pod drzwiami do gabinetu.

- Przyszedłeś wczoraj wieczorem, po czym położyłaś się spać, nic nie mówiąc – odparł Dawid. - Nie pamiętasz?

- Nie – rzekłam zgodnie z prawdą. Nigdy nie okłamywałam swojego męża.

Na obliczu Dawida zaskoczenie mieszało się z naturalną troską. Jeszcze raz przyłożył mi dłoń do twarzy, stwierdzając, że jednak nie mam gorączki.

- Zrób sobie dzisiaj wolne – powiedział. - Zaraz zadzwonię do mojego szefa, aby pozwolił mi z tobą zostać.

- Nie, poradzę sobie – odparłam, patrząc na męża. - Jedź do pracy, a ja dam ci znać, jeśli będę potrzebowała pomocy.

- Dobrze – powiedział po chwili, mimo iż na twarzy miał wypisaną niepewność. - Zadzwoniłem wczoraj do pana Busha, że dzisiaj nie możesz mieć z nim spotkania. Wyglądałaś nieciekawie, dlatego uznałem, iż tak będzie dla ciebie o wiele lepiej.

- Kochany jesteś – rzekłam, całując Dawida w nos. Rzeczywiście nie czułam się najlepiej. - Dziękuję, a teraz już idź, bo spóźnisz się do pracy.

Chwilę później niepewny wciąż Dawid wyszedł z domu, zostawiając mnie pogrążoną w głębokim śnie. Nie był on bynajmniej zwyczajny.

We śnie chodziłam boso po łąkach pokrytych błękitnym, pięknym kwieciami, przyglądając się czystemu niebu, nieskałanemu nawet jedną chmurką oraz słońcu, które oświetlało, ale nie oślepiało. Trawa okazała się miękka i delikatnie łaskotała w stopy, a niezapominajki (przypuszczałam, że były to niezapominajki) muskały moje boscie nogi. Co jakiś czas mijałam białe jak mleko króliki, kicające tu i tam. Słyszałam brzęczenie owadów, spijających nektar z błękitnych kwiatów. Dość często nad łąką unosił się śpiew skowronków. Nigdy dotąd nie byłam na tak wspaniałej łące. Dookoła mnie unosiła się najdelikatniejsza woń, piękniejsza od wszystkich znanych mi perfum. Nie dało się stworzyć równie oszałamiającej kompozycji zapachów, podobnie jak nie da się opisać tego wszystkiego.

W pewnym momencie łąka się skończyła i weszłam w gęsty, jasny las. Zieleń drzew aż kłuła w oczy, pod nogami rosła masa paproci oraz owocujące borówki albo jagody. Wszystkie rośliny były zdrowe, miały intensywne barwy. Przez korony drzew przebijały delikatne promienie słońca, ogrzewając mnie swoim jasnym blaskiem oraz znacząc poszycie smugami światła i cienia. Gdzieś szumiała woda, znak, że niedaleko znajdowała się rzeka, prawdopodobnie bystra i wartka. Dzieciół stukał w drzewo, szukając pożywienia, kukała kukułka. Co jakiś czas na granicy pola widzenia mignęła mi sarna bądź jelen. Czułam się świeżo i rześko, jak po długim, chłodnym prysznicu. Ani razu żadna gałązka nie ukłuła mnie w nagie stopy, ani razu nie musiałam rozgarniać żadnych roślin, tak jakby drzewa i krzaki same ustępowały mi z drogi. Szłam, zachwycając się wspaniałymi przeżyciami i zastanawiając, gdzie się znajdowałam. W Karolinie Północnej nie było takich pięknych miejsc.

Krajobraz zmieniał się stopniowo, las rzedł, ustępując pasowi otwartej przestrzeni, która przedzierała piękny, dziewiczy bór. Przez sam środek tej ziemi przepływała rzeka, obramowana trzema metrami jasnej plaży. Trzciny szumiały potrząsane przez wiatr, ciepły piasek zachrząścił pod stopami. Nagle dosłyszałam głos - niebezpiecznie znajomy.

Przede mną znajdowała się Nasturcja, pływająca w rzece. Bawiła się z oswojonymi wydrami, które przynosiły jej upolowane małe gryzonie oraz ryby jak wierne koty, a jej dźwięczny, delikatny śmiech był dla nich nagrodą. Oczy dziewczynki świeciły jasno radością w czystej postaci. Jej czarne włosy przyklepiały się kosmykami do roześmianej twarzy, a usta ciągle pozostawały rozwarłe szeroko, ukazując białe jak świeży śnieg zęby.

Obudziłam się z krzykiem.

Nie wiem, ile razy zasypiałam, po czym budziłam się, złana potem. Zresztą, jakie to ma znaczenie. Czasami szybko wymazywał mi się z pamięci sen, który śniłam, czasami zapamiętywałam fragmenty i mogłam je odtworzyć na papierze.

Moje sny odróżniałam jedynie po otoczeniu, w jakim się znajdowałam. Raz szłam przez pola pełne złotej pszenicy, raz wędrowałam w górę małego, leśnego strumyka, mijając większe i

mniejsze wodospady, a innym razem stałam wśród kolorowych, wielkich kryształów w górskiej jaskini. Nie pamiętam zresztą, gdzie byłam i kiedy. Wiem tylko, że każdy sen kończył się, gdy ujrzałam roześmianą twarz Nasturcji, wręcz promieniejącą szczęściem.

W końcu zapadł wieczór. Mój mąż wciąż pozostawał w biurze, a ja nareszcie nie mogłam już zasnąć. Siedziałam na kanapie, przykryta puchatym kocem, z filiżanką kawy w rękach i rozmyślałam nad wszystkim, co mi się przyśniło. Nie miałam żadnych wątpliwości, że już kiedyś widziałam okolicę z moich snów, chociaż wiedziałam, iż nigdy nie byłam w tak pięknych miejscach. Ciągle też dręczył mnie wizerunek Nasturcji. Co ona robiła w moim śnie?

Po ponad godzinie rozmyślań mój mózg osiągnął stan skrajnego przemęczenia, a myśli same uciekały w stronę ciepłego, przytulnego łóżka i pomimo niepokojów, jaki budziło we mnie samo pojęcie snu, postanowiłam się położyć, oczywiście bez zamiaru zaśnięcia.

Kiedy tylko dotknęłam głową poduszki, zapadłam jakby w stan hibernacji. Nareszcie nic mi się nie śniło, nie czułam niczego, tak jakbym nigdy nie istniała. Ten brak świadomości był wspaniały, póki go przeżywałam. Oczywiście musiał się skończyć w bardzo brutalny i gwałtowny sposób.

Przerażona otworzyłam oczy, ale nie ujrzałam niczego poza nieprzeniknioną ciemnością. Nie wiedziałam nic, poza jednym- spadałam! Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że to co przeżywałam nie mogło być snem, jako że wrażenie spadania zawsze wybudza człowieka gwałtownie z snu, a ja się nie zbudziłam. Zacisnęłam powieki.

W końcu przestałam spadać, lecz nie poczułam uderzenia, którym zwykle kończyło się spадanie.

Zdumiona po raz kolejny otworzyłam oczy. Leżałam na szczycie góry, a pode mną rozciągał się widok na piękną, idealną krainę. Były tam łąki usiane błękitnymi niezapominajkami, dziewicze bory, które przez środek przecinała bystra rzeka, wielkie i małe wodospady, złote pola pszeniczne oraz inne szczyty górskie, pełne dziur, wskazujących na obecność jaskiń. Gdzieś w oddali ujrzałam piaszczyste plaże i lazurowe morze.

Nie czułam swojego ciała, jedynie myśli miałam wolne. Powstałam i rozpoczęłam zwiedzanie pięknej krainy. Nie potrafiłam się zatrzymać, chociaż często tylko o tym marzyłam. Moja głowa sama się poruszała, zmuszając mnie do patrzenia to tu, to tam.

Przystanąłam dopiero na brzegu morza, chociaż nie czułam morskiej bryzy ani soli w powietrzu. Nade mną latały mewy, prawdopodobnie nawołując do siebie w swoim języku, ja jednak nic nie słyszałam. Mogłam jedynie obserwować.

Stałam tak chwilę, wpatrzona w czyste niebo, prawdopodobnie wdychając zapachy morza, chociaż nie czułam niczego. Dopiero po chwili spojrzałam w bok.

Obok mnie stała Nasturcja.

Co ty tu robisz? - Słowa uformowały mi się w głowie w miarę jak dziewczyna poruszała ustami, mimo iż nic nie słyszałam.

Nie wiem. - Zdałam sobie sprawę, że odpowiedziałam.

Nigdy bym cię nie stworzyła, więc niemożliwe jest, abyś była jedynie wymysłem... - odparła na to z powagą.

Jak to nigdy byś mnie nie stworzyła? - zapytałam. - *Nie rozumiem.*

...co znaczy, że jesteś prawdziwa - dokończyła Nasturcja, nie zważając na moje pytanie. - *A to z kolei oznacza, iż przeniosłaś się tutaj za pomocą piórka.*

Jak to tutaj? - spytałam. - *Jakiego piórka?*

Nie udawaj głupszej, niż jesteś - odparła na to dziewczyna, zachowując stoicki spokój. - *Ukradłaś mi je, kiedy byłam u ciebie na terapii. Wy wszyscy pragniecie jedynie niszczyć. Moje piórko nie powinno cię tu przenieść.*

Powoli zaczynałam rozumieć.

Nie ukradłam ci go - odpowiedziałam, prawie krzycząc. - *Zostawiłaś je, a ja nic nie rozumiejąc zaczęłam obracać pióro w ręce.*

Nasturcja zmierzyła mnie spojrzeniem nieczułych oczu.

Kłamiesz - powiedziała spokojnie. - *Wszyscy ciągle kłamiacie. Wykręćcie się, niszczyć nadzieję, wmawiając ludziom nieprawdę. A co gorsze, robicie to całkiem świadomie.*

To oskarżenie uderzyło mnie mocniej, niż wszystkie wcześniejsze słowa Nasturcji. Zawsze nienawidziłam wszystkiego, co fałszywe.

Osunęłam się na kolana, po czym wstrząsnął mną okropny, rozdzierający szloch. Nie wiem, dlaczego płakałam, nie chciałam tego. Próbowalam się opanować, chociaż nie szło mi to najlepiej. W końcu położyłam się na piasku, chowając głowę między kolanami, ciągle cicho pochlipując. Nasturcja stała nade mną, próbując zajrzeć mi w oczy.

Co to jest? - zapytała bez cienia wcześniejszej wrogości.

O czym ty mówisz? - Podniosłam głowę rozglądając się, ale nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego.

O tym, co ci leci z oczu - powiedziała dziewczynka. - *Co to jest?*

Nigdy nie płakałaś? - zapytałam zdumiona, zapominając o złości i urazie. - *Nigdy nie leciały ci łzy smutku, tęsknoty, rozpacz?*

Nie - odparła po chwili namysłu. - *Nie wiem, co to smutek ani rozpacz.* - Wzruszyła ramionami, patrząc na mnie. - *Wytłumacz mi.*

Nie potrafię - powiedziałam. - *Te uczucia trzeba przeżyć, aby je zrozumieć.*

Chociaż spróbuj - nalegała dalej Nasturcja.

Dobrze. Czująś kiedykolwiek, jakby twoje serce pękło, jakby życie straciło sens, a każda myśl skupiała się jedynie na złych rzeczach? Czy kiedykolwiek uczucia z Ciebie uszły, czy kiedykolwiek twoje oczy zaczęły wylewać słoną wodę, jakbyś nabrała jej z oceanu? Czy kiedykolwiek chciałaś krzyczeć, ale nie z powodu złości?

Dziewczyna powoli pokręciła głową.

Nie.

Zapowiada się trudny dzień - westchnęłam.

Rozpoczęliśmy powolną naukę uczuć, bo jak się okazało, Nasturcja nie znała żadnych poza ciekawością. Czas w tym dziwnym miejscu płynął inaczej, kiedy wreszcie skończyliśmy poznawanie uczucia zazdrości, dziewczynka wstała i spojrzała na niebo.

Jestem zmęczona - powiedziała, używając nazwy nowo poznanego uczucia. - *Chodźmy, zanim się ściemni. Za chwilę słońce powinno zniknąć.*

Nie rozumiałam, skąd podobne podejrzenie u dziewczyny, bo było jasno jak w południe i jeszcze cieplej. Ognista kula nie przesunęła się ani trochę od mojego przybycia do tej dziwnej krainy, mimo to nie zadawałam pytań i ruszyłam za Nasturcją.

Doszliśmy do niewielkiego domku, postawionego na plaży. Dom był całkiem przytulny, a ja powoli odzyskiwałam większą władzę nad umysłem i rejestrowałam już zapachy, choć ciągle nie kontrolowałam swojego ciała.

Bez zbędnych ceregieli Nasturcja położyła się w hamaku powieszonym pod ścianą. Poszłam za jej przykładem i umościłam się na posłaniu obok. Po chwili obie spałyśmy, a raczej leżałyśmy bez świadomości z otwartymi oczami, bo, jak się później okazało, w tej krainie nie było snów.

Żyłam w tym świecie, codziennie ucząc Nasturcję uczuć, chociaż nie wiem, jak to robiłam. Kiedy powiedziałam jej o jakiejś emocji, wytłumaczyłam, o co w niej chodzi, a następnie zademonstrowałam, w jaki sposób się je wyraża, ona zaczynała je przeżywać i pozostawały w jej sercu. Dziewczyna po pewnym czasie nauczyła się wdzięczności i od razu zapytała mnie, czy może się jakoś odwdziżyć za naukę.

Możesz pokazać mi tę krainę oraz wytłumaczyć, jak się tu znalazłam, jak mogę wyjść, a także - co ty tutaj robisz - odpowiedziałam jej.

Nasturcja zgodziła się chętnie i już następnego dnia zaczęłyśmy moją naukę.

Świat, w którym się znalazłam nie nosił żadnej nazwy, bo Nasturcja nigdy nie wymyśliła jej dla niego. Nazywała go po prostu Światem. Właściwie można powiedzieć, że dziewczynka sama go stworzyła. Kiedy przybyła do niego po raz pierwszy, była tutaj tylko naga ziemia. Cokolwiek Nasturcja pomyślała, zaczęło się spełniać i tak powstała cała piękna kraina.

Ja znalazłam się tu za sprawą piórka, jak słusznie podejrzewałam, a mogłam powrócić do

mojego świata, zasypiając na górze, na której się obudziłam po raz pierwszy w tej krainie. Moje myśli same utworzyły teorię, że kiedy upadłam na podłogę przed gabinetem, przeniosłam się tutaj. Zdziwiło mnie bardzo, iż nie dodały niczego o bezwiednym powrocie do mieszkania, co wyjaśnić można było tylko jednym: nic o nim nie wiedziałam!!!

Otworzyłam oczy, wrywając się z snu na jawie. Leżałam na łóżku przy odsłoniętych roletach. Słońce jeszcze nie zaszło, ale chyliło się już ku zachodowi, co powiedziało mi, że spałam jedynie godzinę.

Przez mój umysł przeleciały obrazy świata Nasturcji, lekcje uczuć i wszystkie dziwne wydarzenia. Znowu widziałam magiczne łąki, piękne wodospady, wysokie góry, chociaż tym razem było inaczej. Teraz już wszystko rozumiałam.

Wstałam i ruszyłam do kuchni, z zamiarem przygotowania jakiegoś wspaniałego dania. Szczęście rozpięło mnie od środka, pozwalając mi zapomnieć o niepokoju dziwnych snów. W końcu nie wytrzymałam i zaśmiałam się najgłośniej, jak potrafiłam, po czym zaczęłam tańczyć, choć teraz wydaje mi się, że to było aż nazbyt głupie. Mimo to nie potrafiłam przestać.

Wiedziałam.

To wszystko, co widziałam, zdarzyło się naprawdę. Wspominałam.

- No i niech sobie pani wyobrazi – paplała dalej pani Williams – że jej buty zupełnie nie pasowały do naszyjnika, a bluzka... szkoda gadać...

Już od prawie dwóch godzin siedziałam i wysłuchiwałam opowieści mojej klientki o kobiecie, którą pani Williams spotkała na otwarciu jakiegoś bardzo znanego sklepu. Dobra, słowo „wysłuchiwałam” chyba jednak nie było odpowiednim określeniem. Bardziej starałam się nie przysnąć podczas tej „zajmującej” historii.

Jakby od niechcenia zerknęłam na zegarek.

- Chyba już czas kończyć – przerwałam pani Williams, kiedy przymierzała się do opisu marynarki męża tamtej kobiety. - Dokończy pani opowieść na następnym spotkaniu.

- Oczywiście – powiedziała, patrząc na wyświetlacz swojego telefonu. - Do zobaczenia za tydzień.

Reszta dnia minęła mi spokojnie, chociaż każda godzina dłużyła się niemiłosiernie. Może to z powodu wieczornego spotkanie z Nasturcją, którego wyglądałam z niecierpliwością dziecka czekającego na weekend. Chciałam porozmawiać z dziewczynką na temat naszego spotkania w jej świecie, bo nurtowało mnie jeszcze wiele kwestii.

W końcu dotrwałam do wieczora. Kiedy tylko wyszłam z gabinetu, żegnając mojego ostatniego klienta, zobaczyłam Nasturcję, która siedziała i czytała „Dziwne losy Jane Eyre”.

Przywitałam ją uśmiechem, na co ona odpowiedziała tym samym.

- Dobry wieczór – powiedziałam.

- Dzień dobry – odrzekła. - Cieszę się, że panią widzę.

Weszliśmy do gabinetu, po czym usiadliśmy w fotelach. Nasturcja po raz pierwszy na spotkaniu odezwała się niepytana.

- Czy pani rzeczywiście tam była?

Przytaknęłam, a ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Rozmawialiśmy przez ponad pół spotkania o wszystkim, co nas spotkało w świecie Nasturcji, aż w końcu odważyłam się zadać dręczące mnie pytanie.

- Dlaczego twoi rodzice nie wiedzą?

Spojrzenie dziewczyny stwardniało, twarz stężała.

- Nie zrozumieliby – powiedziała poważnie, kręcąc głową, jakby odganiała straszne myśli. - Nie mogę im tego wyznać. Uznali by, że kłamię.

- Ale oni się martwią twoim stanem – odparłam na to. - Kiedy jesteś w Świecie, istniejesz również tutaj, nieobecna. Widują cię włóczącą się z pustym spojrzeniem, szepczącą dziwne rzeczy i całą brudną. Gdybyś chociaż raz ich tam zabrała, nie martwiliby się.

Oczy Nasturcji zapłoneły.

- Nie!!! - wykrzyknęła. - Nigdy nie zobaczą, jak tam jest pięknie! Nigdy nie pocują słonej bryzy tamtejszego morza, ani ciepła słońca, ani wolności życia! Nigdy nie zasmakują w tamtych owocach, nie usłyszą śpiewu ptaków, nie zaszumią nad nimi dziewicze drzewa, nie będą chodzić po łąkach pokrytych rosą, nie wejdą do jaskiń pełnych diamentów, które stworzyłam! Nie zasłużyli na to!

- Dlaczego tak mówisz? - spytałam, zdziwiona wybuchem dziewczyny. - To twoi rodzice, powinnaś im zaufać i...

- To wszystko przez nich! - przerwała mi, jeszcze głośniejszym krzykiem. - Zapytaj lepiej, dlaczego musiałaś mnie nauczyć czuć! Dlaczego do niedawna byłam taka poważna?! Dlaczego nie wiedziałam, co to smutek, zazdrość, szczęście, wolność?!

Spojrzałam na nią oszołomiona. Miała łzy w oczach, ale twarz wyrażała zdecydowanie i zaciętość. Nie widziałam jej jeszcze tak zdruzgotanej.

- Powiem ci dlaczego! To ich wina! Nigdy ze mną nie byli, nigdy nie dali mi możliwości obcowania z innymi! Ja nigdy naprawdę nie miałam rodziców, chociaż tak ich potrzebowałam!

Nie odrzekłam nic. Zresztą, co miałam powiedzieć? Powinnam bronić rodziców Nasturcji, mimo że się z dziewczyną po części zgadzałam? Zdałam sobie również sprawę, że nie byłam lepsza od państwa Smith. Czy kiedykolwiek okazałam większą życzliwość dla moich klientów?

- Ale mimo to oni są twoją rodziną i cię kochają – powiedziałam po chwili, niepewna własnych słów. - Musisz coś zrobić, aby się już nie martwili.

- Nigdy nie dowiedzą się o Świecie! - krzyczała dalej. - Nigdy, słyszysz? Nie pozwolę na to! To mój świat! Jestem tylko ja i mój świat i nikt nie ma prawa wstępu do niego! Ja i mój świat!!!

Nasturcja wybiegła z gabinetu, taszcząc pod pachą książkę. Zostałam sama, a jej słowa wciąż dudniły mi w uszach.

„Ja i mój świat” - słyszałam to nazbyt wyraźnie. Zdanie, wypowiedziane z taką pasją, oznaczało tylko jedno.

Nie miałam wstępu do tej krainy.

Bezwiednie złapałam za torbę i nic nie widząc wyszłam z gabinetu, nieświadomie zamykając za sobą drzwi.

Na dworze znów padało, ale ja nie zważałam na to. Podążałam ulicą Durham, nie wiedząc, co robię. Moje włosy i ubranie po chwili były już przemoczone do suchej nitki, ja jednak nic nie czułam.

Zakochałam się w Świecie, do którego już nie miałam dostępu. Pokochałam dziewczynkę, ale nie mogłam z nią od teraz spędzać czasu, ani jej przytulić i powiedzieć, co do niej czuję. Wszystko przepadło.

Stałam przed moim domem, ale on wyglądał strasznie obco, jak nigdy dotąd. Otworzyłam furtkę i weszłam do ogrodu, nie postawiłam jednak ani jednego kroku więcej. Opadłam na kolana.

Szłochałam, strasznie szłochałam. Płakałam nad straconą miłością, nad moim nowym domem, gdzie się nawet nie zadomowiłam, nad łąkami, lasami, górami, rzekami pięknej krainy oraz wreszcie nad wspaniałą, jedyłą w swoim rodzaju dziewczynką, tą co ukradła mi serce, zabierając je razem z wszystkimi uczuciami, które tak pieczołowicie poznawała. Płakałam jeszcze nad moim terazniejszym życiem, bo już nie było prawdziwe.

Nie wiem, jak długo szłochałam, nie wiem, kiedy mój mąż mnie znalazł w ogrodzie. Wiem tylko, że moje życie straciło wtedy sens.

Obudziłam się w łóżku, które było znajome, a zarazem tak obce. Dotyk pościeli, oddech Dawida obok mnie, to wszystko straciło swoje dawne znaczenie. Teraz chciałam jedynie zasnąć i już nie wstać.

Leżałam jeszcze bardzo długo, a obok mnie chodzili najróżniejsi ludzie. Widziałam Dawida, pochylającego się nade mną, moją matkę, szlochającą obok niego, ojca, który również płakał, lekarza i wielu innych.

W końcu jednak wstałam, chociaż było mi trudniej, niż myślałam. Spojrzałam na Dawida, a potem powiedziałam tylko jedno słowo.

- Przepraszam.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że nigdy nie nauczyłam Nasturcji złości, a mimo to ona ją znała.

Następnego dnia przyszedł do mnie list zapisany drobnym i zgrabnym pismem.

Durham, 13 czerwca, rok 2014

Droga Sophie!

Nie chcę pisać za dużo, jedynie tyle, żebyś zrozumiała.

Zacznę może od przeprosin. Przepraszam, że się ostatnio tak zachowałam w stosunku do Ciebie. Naprawdę, bardzo mi przykro, iż to, co powiedziałam Cię zraniło. Mimo to nie żałuję żadnego słowa wypowiedzianego o moich rodzicach. Zrozum, życie nie jest łatwe. Często dobre dla innych rzeczy są jedynie złem dla ciebie i na odwrót. Moja matka oraz ojciec zasłużyli na te ostre zdania, a Ty to na pewno rozumiesz. Nie znajduję dla nich żadnego dobrego słowa, nie jestem w stanie ich bronić nawet przed samą sobą.

Dzięki Tobie rozumiałam cel mojego życia. Odchodzę. Świat mnie potrzebuje i nie wie tego nikt, tylko Ty. Moje nadzieje związane z tą rzeczywistością są złudne. Nie pasuję tutaj, a w naszym Świecie trzeba zrobić porządek. Widziałaś zresztą, jaki tam harmider. Przepraszam, że nie pożegnani się z Tobą osobiście. Będzie mi Ciebie brakowało. Może się jeszcze spotkamy, kiedy zniknie już wszelka nadzieja.

Muszę Ci wyznać coś jeszcze. Bądź dla mnie wyrozumiała, bo nigdy tego jeszcze nikomu nie mówiłam. Kocham Cię. Twoje serce jest od teraz moim sercem, a ja będę na zawsze wierzyć, że jesteś przy mnie. Nigdy nie zapomnij o małej Nasturcji, proszę.

To tyle. Muszę iść, bo mnie rodzice nakryją i już nie będzie szans na cichą ucieczkę.

*Kocham,
Nasturcja*

P.S.: Życie jest jak czekolada. Czasami chcesz się nim podzielić, a czasami zostawić je tylko dla siebie, ale wybór, co zrobisz, zawsze należy do Ciebie.

Wiele jeszcze razy czytałam ten list, ale mimo to zawsze płakałam, kiedy o nim myślałam.

Nasturcja nauczyła mnie jednego: nieważne ile masz lat, zawsze możesz stworzyć coś swojego, co zachwyci wszystkich.

Pięć lat później siedziałam w ogrodzie, z uśmiechem przyglądając się czteroletniemu chłopcu, który biegał w tę i w tę, śmiejąc się donośnie. W pewnym momencie maluch wskoczył mi na kolana i zaczął bawić się moimi czarnymi włosami.

- Mamusiu, a jak bardzo mnie kochasz? - zapytał, jak zwykle przekręcając zabawnie główkę.

- Nie da się obliczyć miłości, Jace – powiedziałam, delikatnie tarmosząc blond włosy synka.

- Zgadną się z tym – usłyszałam za sobą dziwnie znajomy głos.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam wysoką siedemnastolatkę, która stała oparta o płot i uśmiechała się. Jej palce skubały paznokcie w charakterystyczny sposób, a czarne oczy błyszczały wesoło.

- Nasturcja! - wykrzyknęłam i pobiegłam, aby przytulić moją przyjaciółkę.

- Wróciłam – powiedziała, odwzajemniając uścisk. – Musiałam. Zrozumiałam, co miałaś na myśli mówiąc, że moi rodzice mnie kochają.

- Przyszłaś się z nimi pogodzić? – zapytałam, zdumiona.

- Tak – odpowiedziała i zaśmiała się dźwięcznie.